

Warszawa, dnia 11 (23) Listopada 1870 roku.

№ 47.

Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

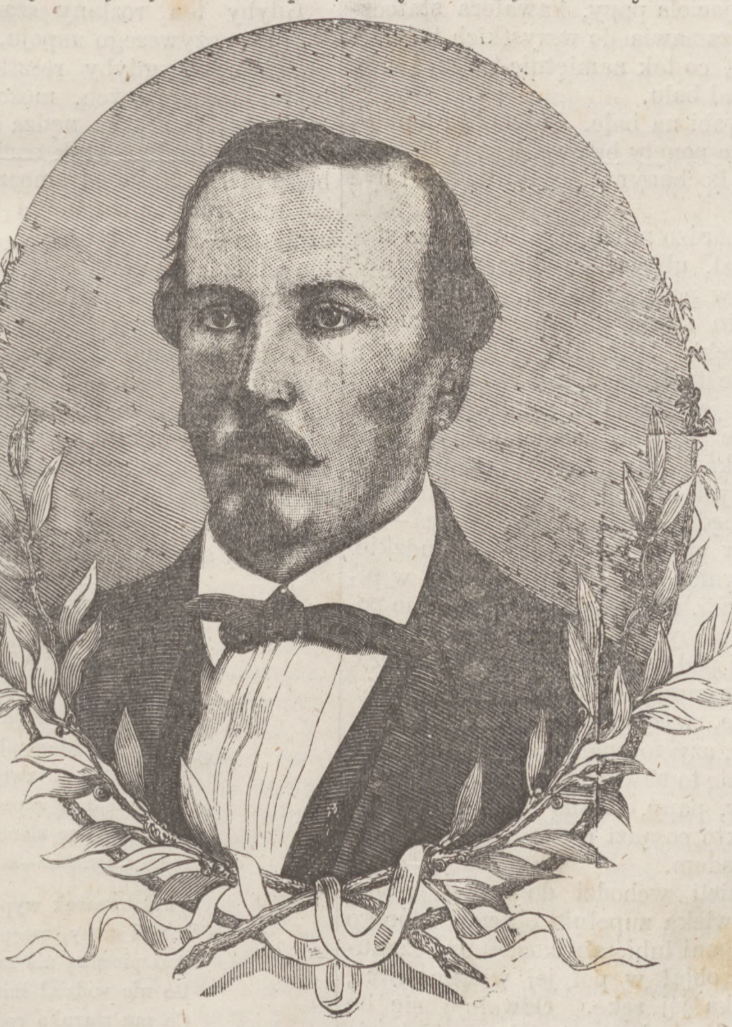
Rok VI.

TREŚĆ: Bale publiczne, przez *Elpidona*. — Szkoda — szkoda, wiersz *E. S.*— Zenon Fisz (Tadeusz Padalica), (z drzeworytem), przez Wołodego *Skibę*.— Dzieci stepów, powiastka (ciąg dalszy) przez Jana *Prusinowskiego*. — Rolnik wioskowy tegoczesny, (z drzeworytem), przez Aleksandra *Osipowicza*.— Echo życia społecznego, IV: przez Aleksandra *Osipowicza*. — Przegląd piśmiennictwa, II: Religja w rolnictwie, przez *O. S.*— **Wiadomości techniczne.** — Maszynka do prania bielizny i wyżymania zarazem takowéj (z ryciną).—Rozmaitości.

BALE PUBLICZNE.

Młoda panienka pierwszy raz jadąca na bal publiczny, między nieznajomych ludzi, jakże pięknie musi roić! Drży z trwogi i radości; lecz za chwilę te dwa uczucia więdną pierwéj niż kwiaty u jéj piersi, a zastępuje je uczucie rozkoszy. Teraz jednem uszkiem słucha rad matki i zwyczajnych reguł należnego zachowania się, a drugiem łowi ciekawie turkot powozów spieszących w tę samą stronę co i ona.

Kto w tych powozach? może osoby znajome? Może też tam będzie i ten ktorego prawie codziennie spotykała przypadkiem niby, podczas swoich przechadzek. O, pewnie będzie, on przecież zawsze umie przeczuć, odgadnąć, gdzie ją spotkać może. Co jéj powie? czy się też zbliży do niéj. Tak roi młodziutka panienka.



Zenon Fisz. — (Strona 495-ta).

Inna więcéj doświadczona, która swoje oczy wypróbowała już na niejednym balu, przegląda się w lusterku wachlarza, układa usta do uśmiechu i czyta w swych wdziękach nadzieję zwycięztwa i patrzy z zajęciem na swój strój, a uśmiech zadowolnienia i dumy przeleciał jéj po twarzy. O! Malwina nie będzie miała takiego stroju, nie wyda się tak dobrze jak ona.

Starzejąca się wdówka wiezie na pastwę męzkim oczom resztki swoich powabów, sprzymierzonych ściśle z tajemnicami toalety. Tam znowu mama wiezie na pokaz trzy córki, którym od jakiegoś czasu przestała rachować lata. I mamie i córkom uwija się po głowie uparcie jedna myśl: a może też...

Kapitalista wiezie młodą żonę, lśniącą blaskiem drogocennych brylantów; on i teraz rachuje, a ona marzy, marzy, o pochwalnych szeptach głaszczących serce, o gorących spojrzeniach, lekkich uściskach w tańcu.

Młody człowiek błyszczącemi lakierkami lekko dotyka chodnika, spieszy i nucąc zapina rękawiczkę; w jego głowie już bal od dwóch dni; myśli się naprzód roztańczyły.

Wszystko leci, pędzi, bawić się. Spytajcie każdego z tych ludzi: czem się chce bawić, na czem zasadza swoję zabawę? każdy odpowie: chcę tańczyć lub patrzeć na tańczących, to mnie bawi. Każdy z nich skłamał, nie wiedząc nawet o tem.

Niechaj naprzykład taka żona kapitalisty tańczy do upadłego całą noc z mężem, niech nie usłyszy ani jednéj pochlebnéj grzeczności, nie pochwyci ani jednego spojrzenia palącego, znudzi się i ziewać będzie.

Do jednéj z trzech panien archeologicznych, przyczepia się jakiś młodziutki student, którego od posady oddziela jeszcze kilka lub kilkanaście lat, tańczy z nią, bawi ją, bo jest przystojny i tancerz doskonały; a jednak mama drze chustkę z niecierpliwości, córka się dąsa. Ona radaby tańczyć z przyszłym mężem, takim co już ma swoję przyzwoitą pensją roczną.

Ach tatko! ja tańczyć lubię namiętnie, woła młoda panienka namawiając ojca na balową zabawę. Ale ojciec, człowiek surowych obyczajów, nie radby widzieć córkę swoję w objęciach obcego mężczyzny, więc się jechać wzbrania. Wtem niebo zsyła do domu zaufanego przyjaciela papy, kawalera statecznego, który pannę zamawia do wszystkich tańców. I patrzcie, ta panna, co tak namiętnie tańczyć lubi, wymawia się teraz od balu.

Więc nie taniec wabi na bale. Próżność i namiętność, te dwie ważne ponęty balowe. Każdy chce albo kochać albo być kochanym, pochwalić się i być chwalonym.

Trzeba być albo bardzo młodym, albo bardzo starym, żeby iść na bal, ubawić się tańcem lub tańczącymi. Tych co w pośrodku stoją, to nie bawi. Bogacze pokazują tu swoje pierścienie, łańcuchy. Kobiety swoje wdzięki. Wino i muzyka sprzysięgły się na odurzenie tych ludzi, na rozpalenie ich krwi i rozwiązanie języka Ileż zakazanych szeptów i rozmów kryje się pod hucznemi dźwiękami muzyki, ileż uścisków namiętnych przemyca się w pląsach kadrylowych lub mazurowych hołubcach? Nietylko kwiaty więdną od balowego gorąca—ale i oczy, słowa i krew palą myśli i uczucia ludzkie.

Chwila szału w walcu silniéj często uderza w piramidę czystych myśli, niż długie wyrachowane pokusy. Jeżeli chcesz dobyć z kobiecych piersi słowo: „Kocham.“ rzuć jéj pod nogi drgające tony walca, pod serce podłóż twe ramię—a wypowie je pewnie. Muzyka, oświetlenie, wszystko to odurza i upaja. Nie chcę rostrzygać, czy to upojenie działa na zdrowie ciała i duszy—ale to pewna: że panny, panowie, nawet ciocie, mamy, papy, pijane są tą atmosferą balu. Może mnie kto posądzi o przesadę, zaraz się wytłumaczę przykładem.

Ojciec panny Anieli wchodzi do salonu i spostrzega w nim człowieka zupełnie obcego, którego jego córka ani zna, ani lubi, ani kocha, ani szanuje—i ten człowiek objął w pół jéj wiotką kibić, a drugą ręką ściska jéj rękę. Odwołuję się do wszystkich właścicieli córek, czy podobny widok nie powinien rodzicielskiego serca urazić? czy go nie oburzy taka śmiałość zuchwalca? Ale poczekajcie—znalazło się jeszcze kilku, kilkunastu takich śmiałków, którzy ośmielili się uwięzić w swych ramionach dziewicze kształty; zapalono światło nad ich głowami — muzyka zagrała — patrzcie, ojciec panny Anieli nie upadł na ziemię z oburzenia; siedzi on wesoły, uśmiechnięty obok swéj połowicy i podziwia gazellowe skoki swéj córki. Zkąd ta zmiana? To czar muzyki! tatko upoił się tym narkotem. Muzyka czarodziejka pozwoliła obcemu człowiekowi zbliżyć się do obcej kobiety tak, jak ledwie mógłby sobie życzyć jéj narzeczony w przeddzień swego ślubu.

Na tych i kilku innych przykładach możnaby osnuć szeroką rozprawę o zabawach i o przyzwoitości, jak ją teraz pojmują, ale nie chcąc być zbyt rozwlekłym powracam znowu do balu.

* * *

Dziwny porządek w świecie! Młoda panna drży przed balem z niecierpliwości, że jéj nie przynoszą na czas gazowéj pajęczej sukni, która spotęguje powaby jéj ciała — a w téj chwili ileż dzieci żebraczych drży od zimna? Wydatek na tę jedną suknię, która jutro już na nic się nie przyda, okryłby te sieroty, te dzieci, tę matkę...

Młody człowiek ręką już niepewną rozlewa szampana po stole i po ziemi—a w téj chwili ileż ust chorych, oschłych z gorączki, poczerniało prawie z pragnienia.

Gdyby ten rozlany szampan można zamienić w trochę ożywczego napoju, coby zwilżył usta nieszczęśliwych, gdyby resztki bankietu, porzucone przez biesiadujących, można poroznosić po domkach, gdzie mieszka nędza i porozdzielać głodnym? ale to tak trudno — tak trudno! W balowej sali kobiece piersi falują od zmęczenia, wachlarze kołyszą się nad rozpłomienionemi twarzami, gorąco tanecznikom — a tylu biednych drży z zimna w nieopalonych izdebkach.

Głupcy! czemu nie tańczą?

O! jakże dziwny, porządek w świecie! Tę młodą kobietę nazywają aniołem, młodzieńca zacnym, innych poczciwymi, — obok światłości co ich otacza, nie widzą cieniów, nie patrzą w niej

Ale po cóż to mówię? Niech tylko między wasze balowe stroje, uciechy i zbytki wsunie się błagająca ręka żebraką, wy się umiecie skurczyć, narzekać na złe czasy, na ubóstwo, że nędzarza bierze ochota poszukać w swojéj torbie jałmużny dla was!

Elpidon.

SZKODA, SZKODA!

Moja śliczna, moja biała,
Modreś oczki wypłakała —
Twoje kwiatki zwiędły w cieniu,
Bez opieki w zapomnieniu —
Im potrzebne słońce, woda,
Biedne kwiatki—szkoda... szkoda!

Twój kanarek wypieszczony,
Siedzi cichy, zasępiony,
Ani piosnką nie zadzwoni,
Bo nie widział śnieżnéj dłoni,
Co mu ziarnko codzień poda —
Biedny ptaszek—szkoda... szkoda!

Twoja mama także wzdycha,
Czasem łzę uroni z cicha,

Ona nie wie, co się stało,
Że jéj dziewczę posmutniało,
Że pobladła mu jagoda.
Biedna mama—szkoda... szkoda!

Twoje oczy, cudne one,
Zapłakane, zamyślone —
I westchnienia z piersi płyną,
Gdzieś z myślami toną, giną—
Znać, że tęskni dusza młoda,
Dusza czysta—szkoda... szkoda!

I dla czegóż ta tęsknota,
Moja ptaszko, moja złota?
Tobie cały świat się śmieje,
Tobie cudna przyszłość dnieje,
Tobie uśmiech i swoboda,
A ty płaczesz— szkoda... szkoda!

Tobie w główce coś się roi,
Tobie ktoś na myśli stoi —
Wiem kto taki—lecz kochana,
Próżno tęsknisz, zapłakana,
Niech ci Bóg otuchy doda —
Chłopca nie ma—szkoda... szkoda!

E. S.

ZENON FISZ.

(Tadeusz Padalica).

Tadeusz Padalica żyje jeszcze, chociaż w r. z. rozeszła się pogłoska o jego śmierci; od dwóch lat jednak przestał piórem służyć krajowi, ciężka niemoc zatrzymała w drodze służbistę. Długo cierpienia fizyczne podkopywały jego zdrowie, w ostatnich czasach przyłączyły się do nich cierpienia moralne. Takim dwóm wrogim czynnikom nie zdołał się oprzeć organizm z natury niezbyt silny i najstraszniejsza z chorób ludzkich, choroba umysłu obezwładniła go. Przerażającym jest widok człowieka, który wczoraj jeszcze potężny i świetny zmysłem, dziś jakby skamieniał nagle: oko szkliste, włos rozwiany, czoło zastygłe w rozpacz, usta na wpół jakby do łkania rozwarte, patrząc nań rzekłbyś, że to posąg boleści na nieszczęściach i klęskach urosły.

Gdy więc dziś skończone zostało posłannictwo jednego członka społeczności naszéj, należy wypowiedzieć summę jego pożytecznego życia. Rzym stary, ów mistrz świata, uwieńczał dębowym liściem zasłużonych obywateli, my przynajmniéj wydrzéjmy zapomnieniu ich imiona i zapisane na karcie historji podajmy ku czci następnym pokoleniom.

Zenon Fisz był synem niebogatych, ale nie cierpiących niedostatku rodziców. Urodził się na Białorusi w okolicy Białynicz 23 Czerwca 1821 r. (według innego biografa na Ukrainie). Ojca utracił bardzo młodo. Matka jego była właścicielką pięknego kawałka żyznéj ziemi w gubernji Kijowskiéj we wsi Prussy, któréj reszta należała do marszałka szlachty Macewicza. Wyszedłszy powtórnie za mąż za pana Glińskiego, osiadła na téj cząstce i zamieszkała w ładnym domku otoczonym pięknym ogródkiem z aleją brzozową, przytykającą do mogiły, z któréj rozciągał się daleki widok na stepy i na futor, gdzie późniéj Padalica miał letnie mieszkanie, które było miejscem dumań jego i pracy.

Oprócz domowych początkowych nauk, uczył się Padalica w prywatnym pensjoniku na wsi w Zabołoczu (gub. Kijowska, powiat Radomyślski) i w drugim takimże pensjonacie utrzymywanym przez jakiegoś włocha, w małéj ukraińskiéj mieścinie Kamionce. Nauka ta krótko trwała, ledwie lat parę najmłodszych, w jakich jest zwyczaj dzieci posyłać do szkoły. Był podobno potem jeszcze u kogoś za towarzysza nauk przy domowem wychowaniu, ale niewiele wyniósł z tego wszystkiego, prócz wrodzonego upodobania do książek i literatury. Ten rodzaj wychowania chciał wyobrazić w przybranym późniéj pseudonymie: „Padalica“ (wyraz ukraiński, oznaczający zboże, które wyrosło z ziarn spadłych z kłosa), umył jego bowiem, pozbawiony umiejętnéj uprawy, miał jako padaliczne ziarno na ustroniu, w ciszy i tajemnicy zakiełkować, urość i plon wydać. W latach już bardzo młodziutkich zrozumiał to Zenon Fisz i z całym zapałem człowieka przyszłości rzucił się do nauk, nagromadzał zasoby, któremi potem miał się dzielić z drugimi i na których oprzeć postanowił czynne swe życie. Życiorys jego pod tym względem, historja tego samouctwa które zaszło tak daleko, byłyby wybornym materjałem do polskiéj edycji takiéj książki jak *Self-Help*.

Pragnąc wywalczyć sobie stanowisko społeczne przez dosłużenie się rangi w służbie cywilnéj, Zenon Fisz wstąpił do biura marszałka szlachty Macewicza i przepędzał dnie na pracy kancelaryjnéj, noce na studjach nad książkami.

Pisać rozpoczął bardzo młodo i jak prawie wszyscy od wierszy. Artykuły i prace swoje umieszczał w nielicznych naówczas pismach czasowych. Mając lat 16 napisał dramat wierszem p. n. *Konaszewicz w Białogrodzie*, umieszczony w sześć lat późniéj, na początku 1844 r. *w Przeglądzie Naukowym* Hipolita Skimborowicza i wydany oddzielnie w 1845 roku nakładem Spiessa, pod nazwiskiem wydawcy. Następnie umieszczał *w Tygodniku Petersburskim* artykuły najwięcéj humorystycznéj treści np. *Szkice Kontraktowe*, obrazki kontraktów Kijowskich. Pisał także w tem piśmie rozprawki o literaturze; najważniejsza tyczyła się elementu ludowego w poezji. *W Atheneum*, piśmie wydawanem przez J. I. Kraszewskiego, drukował powieść p. n. *Noc Tarassowa* i piękne bardzo wspomnienia z czasów młodości swojéj, odznaczające się ślicznemi obrazkami przyrody, lasów i błot nadirdyńskich, na których lubił polować.

Artykuł p. n. *Kilka myśli, kilka wrażeń Tadeusza Padalicy*, wywołał uwagi ks. Ignacego Hołowińskiego (znanego także w literaturze pod pseudonymami Żegoty Kostrowca i Kefalińskiego) przykre i niesłuszne dla autora. Ks. Hołowiński powiedział, że niepotrzebnie autor chciał wtajemniczać ogół do procesu, w skutek którego z pisarza prowentowego został pisarzem powieści. Nie godziło się kapłanowi wyrażać się z taką wzgardą o ubogim autorze, wyrabiającym się o własnych swoich siłach, a tembardziéj przykro było widzieć, jak przyszły arcybiskup, sam urodzony w ubóstwie, nie umiał uszanować ubóstwa bliźniego. Zresztą odezwanie się to, które boleśnie dotknęło Padalicę, było zupełnie nieuzasadnionem. Jak już powiedzieliśmy, Fisz nie był nigdy w nędzy i choćby go to raczéj wynosiło niż poniżało, nie był także nigdy pisarzem prowentowym, ani w żadnych prywatnych obowiązkach.

Rok 1843 czy początek 1844 uczynił go nawet zamożnym. W tych czasach po śmierci brata matki

swojéj Wierzbickiego, otrzymał w spadku wspólnie z bratem wieś Kamienny-bród, sławny bogatemi pokładami labradoru. Obaj bracia sprzedali wieś, zostawiając sobie wspólne prawa z nabywcą do labradoru, którego na mocy zawartego układu, nikt z nich inaczéj jak na wspólną korzyść nie mógł sprzedawać ani obrabiać.

Po zawarciu tego układu Zenon wyjechał do Petersburga i tam spędził na pracach literackich dwa lata 1844 i 1845.

Pod koniec roku 1845 ogłosił w Petersburgu przedpłatę na pismo zbiorowe p. n. *Gwiazda*, z którego cały dochód przeznaczył na odbudowanie zgorzałego w r. 1844 kościoła w gubernji Wileńskiéj w miasteczku Niemenczynie (*). Pisma tego, poczętego w myśli przeprowadzania nowych idei i początkowo prowadzonego umiarkowanie, Padalica redagował tylko tom pierwszy, pisywał jednak i do następnych, które wychodziły pod redakcją Benedykta Dołęgi (Jakóba Jurkiewicza). *Gwiazda* wtedy grzeszyła zbytnią jaskrawością i błysnąwszy parę razy, zgasła nazawsze. *(Dokończenie nastąpi).*

(*) Kościół ten należał do pierwszych założonych na Litwie przez Władysława Jagiełłę. Prawo obsadzania proboszczów przeszło później do Akademji Wileńskiéj, to też proboszczami Niemenczyńskiemi byli zazwyczaj ludzie uczeni i zasłużeni. W liczbie innych proboszczem w Niemenczynie był Adam Naruszewicz, a w chwili wychodzenia *Gwiazdy* ks. Florjan Bobrowski, autor znanego słownika Łacińsko-Polskiego.

DZIECI STEPÓW,

POWIASTKA

Jana Prusinowskiego.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 46-ty).

Dziwiło też niemało całą czeladź, że od tego czasu nietylko Hryćko, ale nawet delikatna Hanna, pomimo słabszéj pory i błota, codzień jeździli na futor, czasami nawet po dwa i trzy razy na dzień i przebywali tam po kilka godzin, nie wyprzęgając koni z wozu, chociaż Hryćko tak był dotąd dbały *o chudobę*. Na futorze, od śmierci Stepana, mieszkała stara krewna Hryćka, która matkowała Hannie przed ślubem i z pomocą *najmyczki*, hodowała drób i karmiła starego pasiecznika, który zarazem w lecie doglądał owoców. Drób, warzywo i miód, dawały niemało dochodu.. Dziwnem się więc wszystkim zdawało, że Hryćko i Hanna, nie czekając wiosny, wyprzedali za bezcen drób wszystek i warzywo i wybili pszczoły w stebułku. Odprawili też, niezważając na bliską zimę, najmyczkę i dziada pasiecznika, chociaż się i nie godziło przed wiosną go wypędzać. Ale Hanna głosiła na całą wieś, że ich wszyscy we troje straszliwie okradali i starą więc babę krewną, wzięła niby na chleb łaskawy do czeladnéj izby na kucharkę, zostawiając pustką chatę na futorze. Co dzień tam jednak oboje nie przestali dojeżdżać i bawić po kilka godzin, chociaż prędko chwyciły mrozy i śniegi spadły w kolano. Zauważali niemniéj domowi, że oboje małżeństwo, mimo zwyczaju, przesiadywali w alkierzu nie śpiąc długo w noc i paląc świece z żółtego wosku, które przedtem wyrabiane były na sprzedaż. Przytem zawsze na noc—brano kufel miodu,i miód i wódkę co dzień poczęto stawiać w dużych flaszach na stole, przy obiadach i wieczerzy, co pierwéj bywało tylko we święta, albo przy gościach.

Przyszła wiosna. Konie i bydełko a nawet woły czumackie, wyszły z zimowli chude i pokaleczone, a owce prawie całkiem odpadły. Z wysyłką po sól do Krymu, Hryćko nietylko się spóźnił, ale wyprawił *maże* źle opatrzone i sam z niemi nie poszedł. Starsi znajomi i sąsiedzi jego ojca upominali go, ale on im odpowiadał tajemniczo: „Poczekajcie no, poczekajcie, od Ś-go Piotra pójdzie mi inaczéj.“ Oj! żeby ci nie poszło tylko, *jak z Piotrowego dnia!* powtarzali starzy przyjaciele.

Hryćko jednak nic nie zważał, spuścił się we wszystkiem w gospodarstwie na jednego *najmyta*, który mu podchlebiał i hulał sam w najlepsze, a Hanna dęła nosa do góry i przechwalała się jak to ona niezadługo *zapanuje!*

Na kilka dni przed Ś-m Piotrem, Hanna z mężem, przebrała się całkiem na futor. Hryćko ani myślał o zbiorze zboża, bo go niewiele było zbierać po ladajakiem urządzeniu roli i posianiu nieczystem ziarnem. A przytem, robiąc podryw sąsiadom, potrzebującym kosarzy i żeńców, najmywał i zamawiał ludzi z zastupami, dając oprócz podwójnéj ceny na dzień strawę i po trzy kieliszki gorzałki. „Co będziecie kopać?“ zapytywali go sąsiedzi i najemnicy, oczekujący roboty na jego *charczy*, ale on zawsze odpowiadał: „Poczekajcie no, poczekajcie, Ś-ty Piotr wam za mnie odpowie.“

Jakoż, w wigilją Świętego Piotra kilkunastu ludzi poczęło kopać na wskazanem miejscu, jedni kopali, a drudzy odnosili ziemię w workach na stronę, Hanna i Hryćko, ani na moment nie poszli do chaty, kazali sobie wynosić i obiad i *południenek*, a beczułka miodu i wódki, stały pod chruścianym szałasem, urządzonym na prędce. Drugiego dnia, nad wieczorem, dokopano się do niewielkiéj płyty kamiennéj, na któréj widok, oboje małżonkowie wykrzyknęli z szaleństwem! Robotnicy, poszli po rozum do głowy i domyślili się że tu idzie o odkopanie skarbu. Coś z sobą cicho pogadali i powiedzieli w końcu Hryćkowi, że robota zaciężka, że tanio się zgodzili, i że chyba dopuści ich do podziału skarbu, to będą daléj kopać, a inaczéj pójdą na inną robotę. Na ten warunek Hanna i Hryćko nie chcieli się zgodzić, ale owszem chcieli żeby robota nie ustawała i w nocy. Po długich więc targach, stanęło na tem, że Hryćko, płacił dziennym robotnikom w pięcioro, a nocnym w dziesięcioro więcéj, niżeli za dzień kośby i żeńcia płacono snopami w okolicy...

Hanna i Hryćko, kolejno stróżowali robotników, kierując ich zastupem i zupełnie przebrali się jakby na mieszkanie do szałasu z beczkami, które ciągle wypróżniane, napełniały się znowu z lochu. Na trzecią noc, dokopano się pałasza. Drugi ten znak wspomniany przez lirnika, nie zostawiał już żadnego wątpienia o prawdziwości skarbu. Hanna stojąca wówczas na straży, pochwyciła go pierwsza i wybiegłszy z głębokiéj jamy, gdzie pracowano przy świecach woskowych, zbudziła Hryćka. W tenczas stanęli przy otworze nie pozwalając kopaczom wychodzić na wierzch i szukali owéj gwiazdy, podług któréj mieli się kierować daléj. Po długich namysłach zgodzili się na jedno, powiedzieli robotnikom jak mają kopać i robota poszła, powoli...

Długo byłoby opowiadać, ile dni kopano i jaki kurhan stanął z wyniesionéj ziemi. Tem bardziéj, że

Hryćko i Hanna zniecierpliwieni nadaremnemi poszukiwaniami, coraz to nowych najmowali robotników, probując kopać w innym coraz kierunku, poczynając od miejsca gdzie znaleziono pałasz. Dość, że z kolei sprzedawali konie, bydło i resztę owiec, potem zastawiali odzież, aż przyszło do tego, że sprzedali chatę we wsi, bo *maże* z solą wróciły późno i ledwie trzy, zamiast wysłanych piętnastu; większą część soli dodany przystawca sprzedał za bezcen po drodze, nie mając czem dowieść do domu, a w przywiezionéj soli tyle było dolanéj wody, że gdy wyschła zostało jéj jak na śmiech. Trzeba było w końcu sprzedać i futor z warunkiem, że skarb wykopany do nich ma należeć. Robota zawsze szła powoli, choć już nie starczyło na tylu robotników, i nie było już w szałasie beczek miodu i wódki, tylko wódkę flaszkami noszono od żyda, a w chruścianym szałasie leżało czworo brudnéj dziatwy, często głodnéj i schorzałéj...

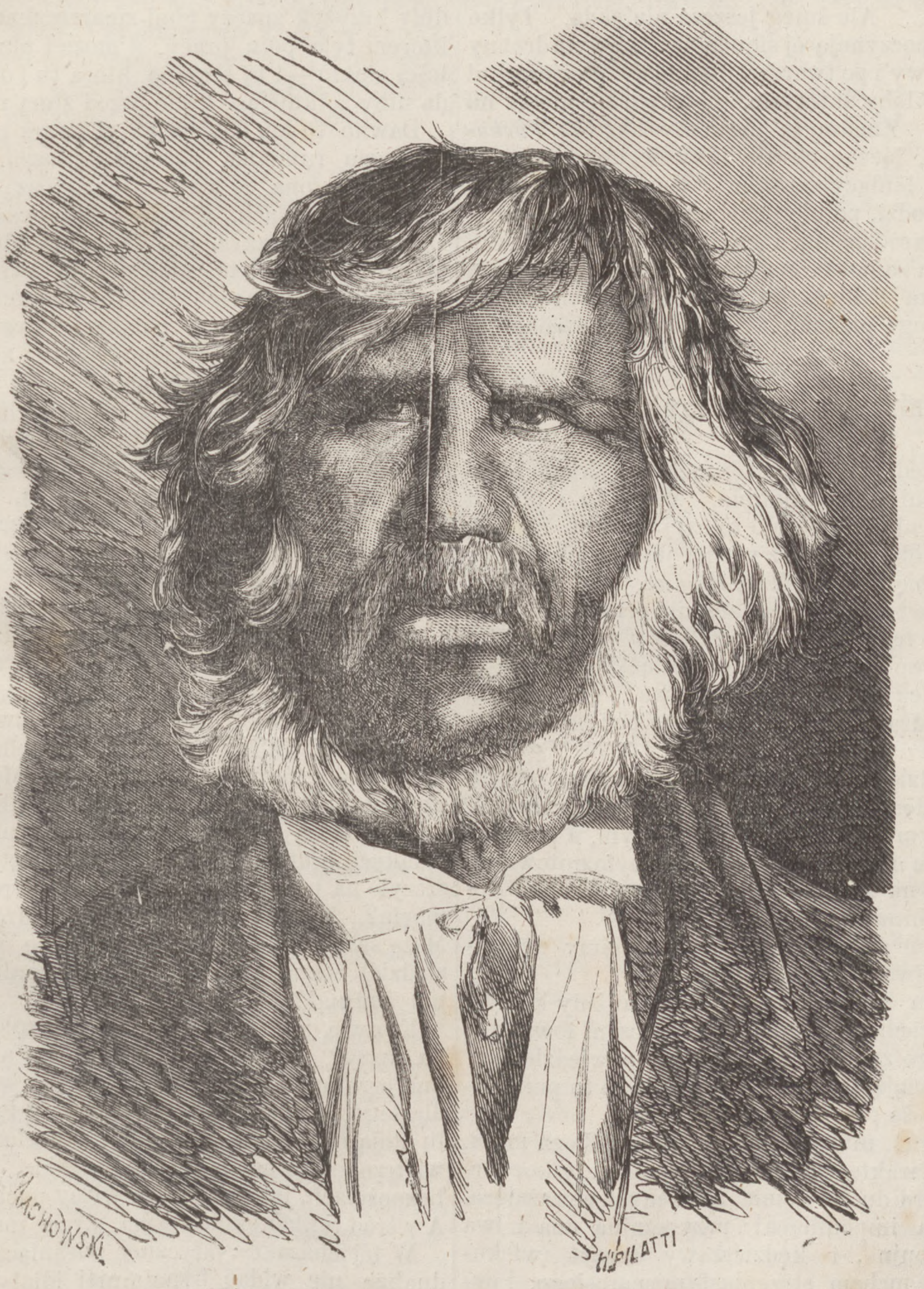
Nareszcie nie było za co nająć ludzi... Hryćko zażasiadł w karczmie i pił bezustanku przez cały tydzień... aż dnia pewnego, wybiegłszy z karczmy, począł skakać w lewo i w prawo licząc, *pięć i pięć siedm i trzy—razem dwadzieścia!* i tak skacząc, wybiegł za wieś, a nim pośpieszono za nim, wpadł do stawu i utonął!

* * *

Pomięszanie i śmierć Hryćka rozwiązały przynajmniéj ręce Hannie i pozwoliły jéj myśleć o sobie. Chociaż chciwsza ale rozumniejsza od męża, widząc jak się poszukiwania nie wiodą i że Hryćko się rozpił, schowała przed nim *na czarną godzinę* kilka dukatów. Teraz więc wydobyła je i zostawiając do namysłu co daléj ma począć, najęła starą chatę za wsią, stojącą od lat dwóch pustką, po śmierci jakiejś komornicy i przeniosłszy się do niéj z dziećmi, żyła bardzo i bardzo biednie, a do tego osamotniona, bo i nie zyskała sobie przyjaciół będąc w szczęściu—i odstraszała pamięcią ojca, upiora i męża, opętanego przez złego ducha.

* * *

Piękny jest widok szerokich stepów... W każdéj z trzech bezśnieżnych pór roku widok ten zmienia się i urozmaica coraz inną barwą, coraz innym kolorytem i oświetleniem krajobrazu... Lecz widok stepu w zimie niemniéj jest piękny, wspaniały i rozmaity, pomimo pozoru jednostajności. Ta cała, niedościgniona okiem przestrzeń, równa jak pod linję, świeci od słońca w każdéj bryłce śniegu jak świętojański robaczek, że sądzisz się być na morzu zamarzłem, zlewającem się z łukami widnokręgu.... Te szare obłoki gniotą cię z góry, a mdławe, tajemnicze światło, bije tylko od śniegu i oświetla wszystkie przedmioty z dołu, wbrew powszechnym prawom natury i sztuki... To znowu podczas zawiei, widzisz nad sobą, pod sobą i na około siebie, tylko białe, matowe przestrzenie, tylko białe jak pióropusze pręgi, jakbyś wraz z całym światem opasany był macoszynemi powijakami natury! każdy z tych



Rolnik wioskowy tegoczesny. — (Strona 498-a).

głównych typów zimowego obrazu stepów ma swoje rodzaje, swoje poddziały, a niektóre z nich niepodobne są do opisania słowem, lub do naśladowania pęzlem... Patrzmy, oto zima okryła stepy szeroką warstwą śniegu, mrozy ścieły całą powierzchnię w drobne migocące kryształki, powiedziałbyś, że jedna sieć brylantowa osłania ją... Słońce świeci jaskrawo... Wtem wiatr groźnie zahuczał, wilgotne chmury zapowiadające śnieg nowy kłębią się po obłokach i gromadząc się, to zakryją, to znowu odsłonią słońce... Ale śnieg jeszcze nie pada. Tylko wicher, przy poczynającéj się odeldze, schwyta drobny pyłek śniegowy i po twardszéj, lśniącéj powierzchni niesie gęste kłęby śnieżyste, piętrzące się nieraz na kilka łokci... Zmianę tę możnaby nazwać *Pochodem śniegów*, łączących się niby w obłok elastyczny, lotny i lśniący zarazem... Ten ruch skrystalizowanéj powodzi, po nieruchomem tle równie lśniącem, daje czarodziejski i groźny zarazem widok.... Zabłąkanemu samotnie na stepie zdać się może, że jakaś Rusałka zaklęła go w przedsieniach swego czarodziejskiego pałacu.... (*Dalszy ciąg nastąpi*).

Rolnik wioskowy tegoczesny.

Mamy przed oczyma wizerunek wiejskiego tegoczesnego rolnika włościanina. Może to i portret czyj nawet? ale mniejsza o to czyj portret, chociaż zapewne podobny — gdyż w nim jest podobieństwo wielu—podobieństwo ogólne, *typowe*.

Wszakże ta twarz znana nam, nie prawdaż? gdzie widzieliśmy tego człowieka? Czy w wiejskim kościele głośno modlącego się z książki? lub niosącego gromnicę w szeregach bractwa? Czy prowadzącego księdza proboszcza pod rękę podczas procesji na sumie?

Czy też gdzieś na jarmarku harcującego na domorosłym mierzynie, wycackanym, wychuchanym, rospieszczonym i ognistym—ukochanym, a przecież wystawionym na sprzedaż, bo trzeba było gotowizny sporo, może na wesele córki, lub na wykupne dla syna od powinności wojskowéj?

Może to ten sam u którego doznaliśmy gościnności, zbłądziwszy w podróży nocnéj.

Może to ten sam u którego nocowaliśmy kiedyś, gzieś, w stronach zapomnianych, zmęczeni łowami?

Dosyć że go znamy. Moglibyśmy powiedzieć nawet nie obawiając się bardzo omylić, że to pan Maciéj, albo może pan Bartłomiéj?

Co za twarz! niby z bronzu wylana. Co za mina, o śmiałych charakterystycznych rysach, nietylko energję, siłę, hard ducha i ciała, ale i myśl wyrażająca. Co za głowa imponująca! przypomina ona i lwa z grzywą bujną, i kędzierzawy szczyt wiekuistego dębu mchem strzępiastym porosłego, i cypel granitu ogorzałego od słońca i burz. Co za wzrok stanowczy! Oczy, ciskające to przenikliwe wejrzenie pod nasuniętemi brwiami, wyglądają niby połyski wód potoku szumiącego w górskich wąwozach. Co za czoło szerokie i w bruzdy poorane, a pamiętne wielu rzeczy widzianych, niby spiżowa tablica wspomnień, ręką czasu wyrytych. Nos męża czynu! ex naso vir. Usta potężne, nie są to usta lalki, ale wodza wśród ryku wichrów zdolne grzmieć rozkazy donośne — lub oratora szkoły demostenesowéj, wśród mnogich rzeszy, zdolne zionąć siarczyste filipiki na głupotę ludzką. Zdaje się że usta te nie znały śmiechu, a jeżeli się rozśmieją to głosem grzmotu—nie znały piosnek, a jeżeli zaśpiewają to głosem wód wielu i— Święty nieśmiertelny! nie znały żarcików, a jeżeli żartowały to z próżności świata — jednem słowem Tadeuszowego Maćka nad Maćkami : głupi! Usta te piły jednakże piołuny życia wielkimi haustami, i szeptały różaniec i godzinki długie lata na przemiany.

Długie lata, bo oto ząb czasu, kto wie czy nie siódmy krzyżyk znaczy temi zmarszczkami oblicza, po którem tyle potu pracy, a może i niemało łez boleści ciekło — i tą siwizną, która tu i owdzie wygląda niby żółkniejące liście przed zimą na drzewie!

Dawno to już dawno jak ta twarz posągowa była buzią rumianą, pucołowatą lasem jasnych włosków ocieniona, co kwiliła w pastuszą fujarkę wiośnianki na polach, niwach i dąbrowach ojczystych. Dawno już to także, jak ta twarz zdobna wysypującym się wąsikiem, należała do zwinnego parobczaka manewrującego ciężkim pługiem w polu, nad którym zawieszone w obłokach skowronki łączyły głosy z jego wioskową melancholijną zwrotką, któréj zdołał się z wielką biedą nauczyć, dla umilenia pracy nieborakom wolikom w jarzmie chodzącym.

Nie dzisiaj to także, jak ta twarz ogorzała już trudami ale czerstwa, należała do młodego gospodarza, co ze swą młodą małżonką gosposią, pędził chwile błogie pracy na własną rękę i uciech rodzinnych pod własną strzechą, na własnéj skibie w zieleni własnego ogródka stojącéj.

Dziś, jest to już twarz patryarchy. Synowie i córy jego, hodują mu dorodne wnuki i wnuczki. Ma o kim myśleć — ma dla kogo pracować — ma o kogo się frasować. Nie dziwo że zadumany i posępny. Kto wie? może tam synowa jego złożona chorobą walczy pomiędzy życiem a śmiercią? Może tam u zięcia dobytek pada? Może tam wnuczek w ospie leży? Może mu grad niedawno zboże wybił? Może wylew rzeki szkody niepowetowane w łąkach brata sprawił? Może robactwo zboże zniszczyło na polach teścia? Może szwagrowi żona odumarła? Może bratunek czyn jaki zdrożny popełnił? Może sąsiad niedobry w pole mu się worał? Może złodziéj nocną porą najlepszego konika z dąbrowy mu świsnął?

Kto wie, jakie on tam ma strapienie lub kłopoty na duszy? Nie dziwno że poważna a prawie posępna jego mina. Nie ma czego się weselić, choćby dla tego, że niepogoda na dworze, a tu roboty w polu stoją nietknięte, a tu może być głód, morowe powietrze. Nie ma czego się weselić. W takich okolicznościach, jak to mówią, włosy puchną na głowie. A wśród takich okoliczności, życie mu całe ubiega!

W téj charakterystycznéj wieśniaczéj twarzy jednakże nie widać bynajmniéj idiotyzmu i uprzedzenia.

Tak nazwany chłopski rozum widny w oczach, czole i wszystkich jéj rysach—to jest rozum prosty, ale zdrowy, prawy i wolny od wszelkich wykrętów i przebiegów. Rozum ten pogodził się z cywilizacją, bo poznał jéj dobrodziejstwa. Kiedyś, oczy te z drwinami spoglądały na ludzi co w szkołach uczyli się rozumu i chodzili w odzieniu z cienkiego sukna i rękawiczkach. Aliści w kalendarzu było napisano że będzie zaćmienie słońca o godzinie, minucie i sekundzie, w dniu, miesiącu i roku zapowiedzianym;

zaćmienie słońca było rzeczywiście. Tu nie ma śmiechu, tu jest rozum, pomyślał sobie ten człowiek i odtąd na księgi i ludzi znających się na księgach z szacunkiem spogląda. Zapuścił wąsy po mieszczańsku. Podbródek wygolił acz niezręcznie jeszcze, ale po obywatelsku. Żeby miał czas i wprawę, to możeby i czuprynę swą troszkę po pańsku jak to mówią przymuskał. Nie chodzi już w siermiędze ni łapciach, ale w kapocie i bótach z długiemi cholewami. Podpiera się trzciną. Ma w domu zegar bijący. Najstarszy jego syn nosi kieszonkowy zegarek, surdut czarny i prenumeruje Zorzę — oprócz tego ma w domu samowar. A jeżeli się nie mylimy, syn najmłodszy, parobczak pod wąsem, bywając w miasteczku na jarmarku, papierosy już pali.

Dałby mu stary za to, żeby zobaczył.

Dwóch wnuków starego, uczęszcza na naukę do Gimnazjum. Gdy przyjeżdżają na wakacje do domu, zrzucają mundurki i ruszają w pole pomagać rodzicom w robocie—wieczorami zaś czytają na przemiany swym siostrom *Przyjaciela Dzieci* którego z sobą przywieźli

Mówili! że obiecano im pożyczyć na przyszłe wakacje parę tomów *Tygodnika Illustrowanego* — ale siostry nie chcą temu wierzyć.... Dla czegóż nie wierzą, skoro panowie studenci *słowem honoru* ręczą że przywiozą, jak się wyrażają, *na pewniaka*, owe szacowne pismo?

Aleksander Osipowicz.

ECHO ŻYCIA SPOŁECZNEGO.

IV.

Są na świecie zajęcia osobliwe, zawody dziwne, z których jednakże ludzie umieją czerpać środki na swoje utrzymanie, i zdobywają sobie stanowisko nie do zazdrości wprawdzie, ale zdeterminowane. Zawsze lepiéj jest być czemś, niż niczem.

W Paryżu np. znane są następujące zajęcia stałe, które są specjalnościami w swoim rodzaju, potrzebującemi oddania się im wyłącznego żeby były produkcyjnemi dla swych adeptów, a które gdzieindziéj jak w Paryżu, nie miałyby najmniejszego powodzenia.

I tak, są tam *piastuny gołąbków*, którzy za opłatą pobieraną od gołębiarzy, karmią pisklęta gołębie, własnemi usty napełnionemi pożutym grochem.

Są i *malarze nóg indyczych*, których genjusz artystowski na tem tylko zależy, że za opłatą pobieraną od handlarzy drobiu, nogom indyków zabitych, wyblakłym z powodu nieświeżości tego ptastwa, nadają za pomocą farby i pędzla czarność i połysk, nogom indyków żywych lub niedawno zabitych—właściwe.

No—są to ludzie poświęcający się śmiesznym wprawdzie, ale względnie przynajmniéj użytecznym zawodom;—ale pytamy jednak, do jakiego rzędu zajęć policzyć należałoby męczący bezużytecznie zawód szybkobiegacza? chyba do zawodów smutnych? boć trudno jest bawić się widokiem człowieka, który każe sobie płacić za to, że biega prędzéj niż inni! W takim razie każdy koń, zając lub chart, jest daleko lepszym odeń artystą. Jeżeli talent szybkobiegacza ma dowodzić, że w razie potrzeby zdołałby prędzéj umknąć gdyby go kto chciał ścigać, niż wielu innych śmiertelników nie zalecających się charakterem w nogach—to dobrze dla niego, ale co na tem zyskuje społeczeństwo? za co mu płacić więc i podziwiać go za co? Jeżeli zaś pragnąłby swym talentem udowodnić że dzielnym byłby gońcem, to goniec konny bez zaprzeczenia dzielniejszym jest odeń—a talent gończy, w połączeniu z zawodem komisjonera publicznego, miałby dopiero prawdziwie użyteczne zastosowanie.

Jakim więc sposobem zdobyć się można na obranie tak niewdzięcznego zawodu? czego potrzeba aby się zdobyć na taką odwagę? Pojmujemy to że przedewszystkiem potrzeba na to być nadzwyczaj lekkim człowiekiem — ale w czasach, w których lekki człowiek nie jest żadną osobliwością, i szybkobiegacz zajęcia nie wzbudza.

Czego właśnie było dowodem, wystąpienie niedawne na placu Ujazdowskim swojskiéj produkcji szybkobiegacza, którego żniwo laurów i mamony pono wcale nie było namłotne.

* * *

A jednakże starożytni inaczéj na ten przedmiot się zapatrywali. U Greków np. szybkie bieganie uchodziło za talent przyozdabiający człowieka który go posiadał. Homer Achillesa nie wachał się nazwać *szybkonogim*. Na igrzyskach olimpijskich występowali wiatronogie zapastniki, szybkobiegacze z powołania, i odbywali wyścigi konkursowe, które my koniom i dżokejom pozostawiamy. Pamiętniki spisywane o igrzyskach owych, wspominają z chlubą o tryumfach odniesionych przez słynnych szybkobiegaczy. Polymestes z Miletu słynął z tego, że zające w biegu chwytał lepiéj niż charty. Lastones Tebańczyk wsławił się tem, że konia w najtęższym galopie prześcignął. Hermogenes zdobywszy liczne laury na igrzyskach olimpijskich, pozyskał pochlebny i przyjemny przydomek *Konia*. A Ladas Lacedemończyk, za to że prześcignąwszy współzawodników, u mety chwalebnie życia dokonał z wytężenia, był opiewany aż w dwóch epigramatach przez poetę, i posąg spiżowy na cześć jego wzniesiono.

W czasach więc w których sztuka szybkiego biegania będąc tak poważaną i uprawianą wydawała nietylko wielkich mistrzów, wielbicieli, ale i męczenników, można jeszcze było sobie pozwolić zostać człekiem lekkim z powołania, można jeszcze było przystać na to, że rozum uciekając od człowieka chociaż w piętach się zatrzymał, i był i tam nawet poważany i ceniony — ale w czasach naszych, w których tylko rozum głowy zyskuje powodzenie, rachować na spryt w nogach, to trzeba być na to chyba ofiarą osobliwszego powołania—lub cenić godność człowieczą mniéj, niż piastuny gołąbków i malarze nóg indyczych.

* * *

Są i w Warszawie osobliwi artyści, swojskiego zupełnie autoramentu. Są to pośrednicy kupna, sprzedaży, zamiany i załatwienia sporów kwestji i spraw, które byłoby właśnie bez pośrednictwa najkorzystniéj dla stron załatwiać. Talentem ich, a możnaby nawet powiedzieć genjuszem ich, jest sztuka wmawiania w ludzi przekonania takiego, jakie wpoić w nich sobie zamierzyli.

Jeżeli potrzeba niepospolitego daru wymowy, żeby wzruszyć i podbić sobie tłumy, to żeby przekonać i zwyciężyć pojęcia pojedynczego człowieka, zbrojnego nieufnością, podejrzeniem, skąpstwem, chciwością, bojaźnią, przezornością, ostrożnością, przewidywaniem i t. p. — trzeba być skończonym oratorem. Z niczem się też nie da porównać słodycz wejrzenia, układność wzięcia się, uprzejmość obejścia się, serdeczność poruszeń, mądrość gestów i jedwabność wysłowienia, jakiemi *pośrednik* stopniowo zyskuje sobie zaufanie klienta, nad którym *zaczął pracować*.

A późniéj określa swój tryumf tylko jednem wyrażeniem: *sforsowałem go!*

W języku łowieckim, o zającu którego charty po długim gnaniu żywcem biorą, mówi się, że charty go sforsowały.

Wypada więc, że interesant sforsowany przez pośrednika odgrywa rolę zająca, a pośrednik charta biorącego, jak to się mówi po myśliwsku, na pojedynkę — to jest pojedynczo, bez pomocy cudzéj biedaka koślawca.

Życie wielkich miast z wielu względów podobne jest do nieustannych łowów—wśród których zarówno trzeba się wystrzegać chartów, jak wyżłów, ogarów, jamników, kundli, mopsów, szpiców, buldogów, brytanów, pijawek—a nawet pokojowych Azorów i Doskoczów, które jeżeli nie ośmielą się lub nie mogą ugryźć, to oszczekają. (*Dokończenie nastąpi*).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

II.

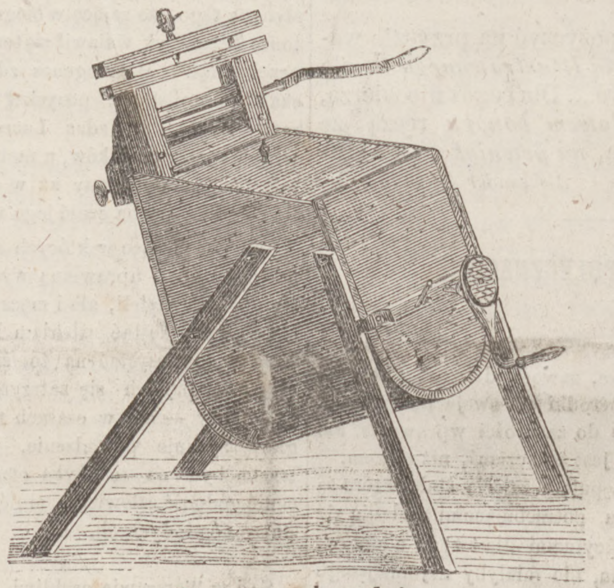
Religja w Rolnictwie. (Warszawa 1870, str. 15). — Godło na czele powyższéj broszurki położone: „Nie miéj w nienawiści uprawiania roli postanowionego od Najwyższego" daje czytelnikowi z góry zaraz pojęcie o celu i dążności autora, który dowodzi: że dopóki w kraju istnieją rolnicy, dopóty też o zachowanie w nim religji lękać się nie należy, gdyż rolnictwo jest jedyną, najlepszą szkołą wychowania ludzi bogobojnych. Twierdzenie swoje wyprowadza autor z tego założenia: że rolnik w zajęciach swoich jest zawsze najbliżéj natury, która mu jak najdobitniéj i bezpośrednio wykazuje wszystkie cuda i wielkość Boga, przemawiające w każdéj chwili i na każdym kroku do jego serca i duszy; że, jak w miastach góruje wykształcenie głowy, tak na wsi przeważa wychowanie serca, a religja przedewszystkiem serca wymaga; że wreszcie wszystkie zasadnicze cnoty chrześcijańskie, jak: pokora, cierpliwość, prawość i z nich: wiara, nadzieja, miłość, najbujniéj krzewią się w ustroniu wiejskiem, gdzie sama przyroda w każdym swoim objawie, głosem tychże samych cnót do pojmującego je należycie rolnika bezustannie się odzywa;—tu bowiem człowiek w wiecznych zapasach swego rozumu, pracy i usiłowań z rzeczywistością przyrody, wprost od niéj najgruntowniejszą i zbawienną otrzymuje naukę.

Opierając daléj wywody swoje na licznych przytoczeniach z Pisma Świętego, autor wynosi stan rolniczy pod względem religijnym nad wszystkie inne stany—i utrzymuje ostatecznie: że wszystko co ten stan obciąża, paraliżuje i poniża, dąży zarazem do poniżenia moralności i religji, a skutkiem tego staje się powodem zubożenia kraju, którego główne bogactwo stanowi produkt z roli.

Króciuchna ta broszurka, napisana jasno i jędrnie, obejmująca wiele zbawiennych prawd społecznych, zasługuje pod każdym względem na gościnne przyjęcie u każdego przywiązanego do swego zawodu rolnika. *O. Il.*

Wiadomości Techniczne.

— Maszynka do prania bielizny i wyżymania zarazem takowéj. (System *Gratza*—wyrób *Peltiera.*— Cena 25 rubli, we Francji). Narzędzie to rzeczywiście miało się okazać praktycznem; składa się ono ze skrzyni drewnianéj, któréj dno pochyłe ułatwia czyszczenie bielizny. Skrzynię (jak to drzeworyt na ostatniéj stronnicy umieszczony wskazuje), podpierają cztery nogi. Wewnątrz skrzyni, tarcza drewniana żłobkowana, odbywa ruch półobrotowy za pomocą korbki. Ściana prostopadła skrzyni, ma podobneż żłobki czyli rowki, w krawędziach łagodnie zagiętych. Kiedy bielizna wraz z ługiem wprowadzoną zostaje do skrzyni, tarcza w téjże chwili cofa się w tył, cisnąc w skutek pochyłego swego położenia na bieliznę. Jednocześnie robotnica porusza korbką na prawo i na lewo, który to ruch pociąga tarczę w ten sposób, że takowa rozciera bieliznę, tak samo jak praczka rękoma w balji. Łatwo pojąć że przy takim mechanizmie zachodzi tarcie bardzo łagodne, w przestrzeni pomiedzy tarczą a dnem skrzyni; pranie odbywa się przytem szybko, nic zużywając ani rozrywając tkanki, upraszcza więc niezmiernie całą manipulację, tyle kłopotliwą i męczącą w domowych gospodarstwach. Skrzynia wyżéj opisana, prócz tego zaopatrzoną jest w górnéj swéj części małym przyrządem z walcami kauczukowemi, czyli *wyżymalnią*, która znana już jest wielu domom gospodarskim w Warszawie. Bielizna po wyjściu ze skrzyni i wypłukaniu, przechodzi pomiędzy tymi walcami, zastępującymi wyżymalnie ręczne, tyle dla tkanki szkodliwe. Opisywana maszynka Peltiera, jakkolwiek niewielka, posiada silne ciśnienie, a zastósowanie kauczuku w wyżymalni, jest pomysłem bardzo szczęśliwym.



Pralnio-wyżymalnia.

Za pomocą śróbki przytwierdzonéj do listew górnych, widocznych na figurze, walce kauczukowe można do siebie zbliżać lub oddalać, w skutek czego woda prawie do kropli wyżętą zostaje z bielizny a mimo to tkanka nie ulega najmniejszemu rozdarciu. *T. H.*

ROZMAITOŚCI.

— Przejście z Syberji do Norwegji. Pewien Norwegski uczony, p. Carston, opływając morze Kanau, otaczające brzegi części południowéj wyspy nowéj Zemli i gubernji Tobolskiéj, okryte wiecznemi lodami, odkrył wśród tych lodów przejście otwarte przez kilka miesięcy w roku, mogące znacznie ułatwić handel pomiędzy Syberją a portem norwegskim w Tromsoe. Odkrycie to współcześnie uczynił także Anglik p. Pallisser.

— Poczucie obowiązku. Na żelaznéj drodze pomiędzy New-Jorkiem a Newark, znajduje się most, środkiem otwierany dla przepuszczania statków. Dozorca mostowy Drecker, miał obowiązek za nadejściem pociągu zamykać lukę. Właśnie w chwili, gdy ujrzał z daleka nadchodzący pociąg, wpada mu synek 6-cio letni w rzekę; było jeszcze dość czasu uratować go, lecz gdyby dozorca rzucił się na pomoc dziecku, pociąg mógłby nadejść i wpaść w fale rzeki. Biedny ojciec poświęcił syna dla ocalenia jadących, zanim bowiem pociąg most przebiegł, chłopiec znikł pod wodą. Pokazuje się, że i przemysł ma swoich Brutusów, poświęcających dzieci dobru ogólnemu.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 8 (20) Ноября 1870 года. — **Redaktor,** Stanisławski Oskar.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.